

25528

Cena jednodniówki 1 marka.

WARSZAWA, 7 SIERPNIA 1920 R.

Pospolite Ruszenie

... JEDNODNIÓWKA ...

827c
25528
B. P. im. Ł.

Pospolite ruszenie.

Za dawnych czasów w Polsce bywał zwyczaj, że kiedy wróg nachodził granice ojczyzny, wówczas kto żył, kto czuł się na siłach, młody czy stary —

rzucił swój dom, rodzinę, zajęcie, brał broń i szedł bronić kraju!

Nazywano to **pospolicem** czyli powszechnem **ruszeniem**.

Kto z Polaków nie chwycił by był w takiej potrzebie oręża, kto by się był oglądał, że może inni za niego pójdą, a on sobie spokojnie doma przesiedzi—ten by się był u braci okrył wleczną wzdardą, tego dzieci i wnukowie jadyby były wstyd. Taki tchórz, taki leniuch byłby wyklęty w narodzie.

To też nie było przykładowi, by kto z dawnych Polaków wygiwał się od pospoliciego ruszenia.

Nawet siedmdziesięcioletni starcy siadali na koniu, a ojcowie zabierali ze sobą nieletnich synów na bój!

Bracia Polacy!

Oto przyszła taka chwila, że

Polska musi dziś wstać do swych synów:

Formujcie Pospolite ruszenie!

Okrutny wróg chce nas uczynić swoimi niewolnikami. Chce nas wszystkich okuć w kajdany, chce polski lud zaprzędz do przymusowych robót, chce zrabować kraj, jak zrabował już Wilno, Grodno, Mińsk, Słonim, Białystok, chce spustoszyć ziemię polskie. Chce to wszystko zrobić, by choć przez kilka miesięcy wyżywić zgłodniałą armię swoją. Żołnierzowi swojemu obiecał, że wszystko jego, co w Polsce znajdzie.

I mybyśmy dali mu to wszystko zabrać?! Dalibyśmy się pokonać?!!

Niedoczekanie jego!

Tożby wnukowie nasi chodzili pluć na groby nasze, tożby Bóg Wszchemogący na dniu sądu ostatecznego nie przebaczył nam tej zbrodni, żeśmy wpuścili w swój kraj wroga Boga i ludzkości.

Bracia Polacy — za broń!

Naczelnik Państwa rozkazał narodowi formować armję ochotniczą i na czele tej armji postawił bohatera, którego dziś czi cały świat: generała Hallera.

Kilka pułków, przeważnie jednak młodziutkich chłopców, poszło już na front i pobilo wroga. Bolszewicy drałowali przed tymi pułkami jak zajęc. Nie chcieli się bić, gdy się dowiedzieli, że naprzeciw nich stoi ochotnik polski.

I dobrze przewidzieli: bo ochotnik polski — to ten, co do ostatniej kropli krwi chce bronić ojczyzny, ziemi, ojców, braci, dzieci swoich. Z takim lepiej nie zadzierać!

Ale my nie możemy pozwolić, by za Polskę walczyli tylko chłopcy i dzieci. Siła jest jeszcze młodych, zdrowych mężczyzn, którzy mogą bolszewikom zalać sadła za skórę.

Bolszewik w boju nie straszny.

Tylko mu pokazać, że chcę walczyć, że nie ustąpię, a oficerowie jego i komisarze nie mogą go uprosić, by się bił. Żołnierz to lichy, tylko go dużo. Więc trzeba przeciwko niemu ślać coraz to nowe pułki. Trzeba pokazać Antychrystowi, że Polska się nie daje, że wszyscy:

Inteligencja i lud, mieszczaństwo, rzemieślnicy, robotnicy rzucą swe zajęcia i stają pod sztandarem armji ochotniczej.

Bracia:

My się dzisiaj nie pokazemy podlejszymi od dawnych Polaków:

Ojczyzna w niebezpieczeństwie — chyćmy za broń!

Kto żyw niech się zaraz: nie jutro lecz dziś zapisuje

do pospolitego ruszenia armji ochotniczej.

Zapisy przyjmuje:

Szkoła Sztabu generalnego, Aleja Szucha i wszystkie w kraju biura werbunkowe.



Niebezpieczeństwo nie jest znowu tak groźne.

Warszawskie strachajły od kilku dni nie mają nic lepszego do roboty, jak tylko łązić po ulicach, po sklepikach, po piwiarniach i głosić, że Warszawa, a z nią kraj cały, jest w wielkim niebezpieczeństwie.

— Bolszewicy są już nad Narwią!

I myśli całe to bractwo strachu, że już Warszawa koniecznie musi paść. Trzęsiodudy te nie znają nic spraw wojskowych i nie rozumieją, że wojsko nieraz musi oszukać nieprzyjaciela, by mu potem tem większą zadać klęskę.

Nie potrzeba sięgać do historii po przykłady. Dość przypomnieć sobie, co było w wielkiej wojnie w roku 1914 i 1918, kiedy Prusacy stali już nad rzeką Marną o 50 wiorst od stolicy Francji—od Paryża.

Dwa razy w ciągu wielkiej wojny Niemcy zbliżali się do Paryża. I dwa razy nad Marną ponieśli sromotną klęskę.

Po raz pierwszy na jesieni roku 1914. W ciągu pierwszych dwóch miesięcy wojny armja francuska musiała się wciąż cofać. Napór niemiecki miał pozory takiej druzgocącej mocy, że zdawało się, iż go nic nie powstrzyma. I wielu, wielu strachajłów francuskich już oplakiwało upadek Paryża.

Ludzie ci widzieli przerażającą siłę Niemców, ich zadziwiającą, maszynową organizacją—słowem to, co stanowiło pozory siły. Nie liczyli się tylko z jednym: — z duchem Francji.

Niebezpieczeństwo, zagrażające stolicy, zelektryzowało cały naród. Bo to, że Paryż miał wpaść w ręce niemieckie, każdy Francuz odczuł jak zniewagę, jak obelgę hańbiącą honor francuski. I w tej ciężkiej chwili wszystkich ogarnęła jednak kowa zawziętość, jednakowa wola zwycięstwa.

Ówczesny francuski wódz naczelny, Joffre, zapowiedział: „nie pójdziecie ani kroku dalej.“ Ale to nie były jego słowa tylko. Tak w tym momencie czuła, tak postanowiła cała Francja.

I Francuzi wygrali bitwę nad Marną, zmusili hordy niemieckie do odwrotu.

Po raz drugi Niemcy podsunęli się pod Paryż w lipcu roku 1918. Po czterech latach wojny już świat wiedział po czyjej stronie należy oczekiwać zwycięstwa. I rozpaczliwy wysiłek Niemców, z jakim dążyli do opanowania Paryża, już nie miał zwycięskich tryumfów na celu. Był po prostu chęcią oszukania świata. Zapal wojenny w Niemczech już podtrzymywano policyjnie, militarnie. Władcy Niemiec widzieli wyraźnie — nie mogli nie widzieć, że wszystko już się kończy, rozkłada, że cała ich potęga dobra jest tylko jeszcze do tumanienia ludzi na zewnątrz, ale że od wewnątrz już z dnia na dzień, z godziny na godzinę grozi ruina...

I dlatego w tym ostatnim momencie chcieli zastraszyć świat, oszołomić, aby uratować pozory swojej siły i uzyskać pokój, któryby im pozwolił utrzymać się przy władzy.

Francja nie dała się zastraszyć. Stary Clemenceau powiedział: „Wytrwać“. I znów—to nie były jego słowa tylko. Tak samo czuli i myśleli z nim wszyscy Francuzi.

I dnia 18 lipca 1918 roku skończyła się nad Marną potworna niemiecka komedia potęgi. O kilkadziesiąt kilometrów od Paryża rozpoczął się pogrom Niemców, który w niespełna cztery miesiące potem doprowadził ich do ostatecznej klęski.

Francja wygrała wojnę i ocalała się od zagłady przez to, że nie upadła na duchu, że się nie dała zastraszyć pozorom potęgi, za którą nie było nic prócz pustki i ruiny.

List Felka kaprala do starszego pana Antka o tem, jak gołków po Warszawie pędzał.

To ci powiem, koński ogonie, że ledwie mnie zła krew nie zalała, jakem się dowiedział, że naszych biją. Moskale naszych biją! O psiekrwie! Choć ci tą rączkę ciągiem jeno jak mamka w powijakach noszę (bo mi ją pod Kijowem na durch przestrzelili), alem zaraz poszedł do swego szpitala i do raportu.

Wyszedł doktor nasz, chłop byczy i cwany,

— Niby kapral z czem?—mówi.

— A to na front się melduje. Dostyc gnicia! Naszych biją.

— To niby jak kapral pójdzie, to się poprawi?

— Się wil Pókim był w pułku, tośmy ich bili. Więc nic innego, tylko mnie zabrakło.

— Fiu! A z tym kikutem jak będzie?

Tu mi ręką na powijak pokazał. Zgniewałem się strasznie.

— Ja mówię — za przeproszeniem pana doktora i tym kikutem choćby tak, mordy w swojej sekcji spiore, że mi żaden, psiekrew, nie dychnie. Mnie się bać będą, nie Moskala. Wie doktor?!

Ani okiem nie mrugnął, tylko mówi zaraz:

— Ano, to nic innego, tylko chodź kapral ze mną gołków pędzać.

Poszedłem z samej ciekawości. Jakich to gołków pędzać?—myślę. Tośmy jeszcze wstąpili na Szucha do Hallera, kokardę przypieł mi fajną, czerwoną z białym, i zabraliśmy się razem z doktorem do P. K. U.

Otwieram drzwi, patrzę, a tu ci ze stu chłopca, abo i więcej, na golasa, jak matka rodziła, po izbie biega, papierosy kurzy, a wrzeszczy, śmieją się jak u siebie. Porządku nijakiego. Ażem splunął. Rekruty — myślę. A już doktor mówi do mnie po cichu:

— Zrób tu kapral porządek z temi gołkami. W ogonku ich postaw, do miarki bierz i zapisuj. Tylko grzecznie, bo to ochotniki.

Ano grzecznie, to grzecznie. Więcem rozepchał gołków, stanąłem na środku i jak nie ryknę:

— Baczość!! Rekruty! psie ścierwał gołki zatracone! Ufermy koński! Baczość!! Bo kapral Felek mówi grzecznie! Baczość, bycze syny!!

Jakom ci jeszcze zdrową ręką któregoś w tyłek chlasnął, to strzeliło jak ze sztajera.

Zaraz ci do mnie z pyskiem.

— Te—kapral! My tu ochotniki, nie rekruty! Więc ja na niego:

— Milczeć, psi synu! Stawaj w ogonku! Chociaż ochotnik, to jak cię w pysk wyrżnę, to ci zara ochota do żartów przejdzie!

Ustawiłem ich zaraz w ogonku do miary, mierzą ci każdego, doktor mój ogląda, a ja stempluje, że godzien do służby. Ledwo tam którego kopnę leciusieńko i dla powagi, żeby wiedziały ufermy, że grzeczność ma być. Inteligentny były przeważnie, chude i połamane, że nie daj Bóg! Splunąć nie wart! Jedno słowo—ufermy!

Ostemplowałem ich jak się patrzy i idę do swojej Mańki na obiad. Kucharuje tu u jednych państwa na Hożej. Babsko grube jak piec i wyżerkę daje fest. Trzymam ci ją krótko, po kapralu, boby ci baba zjadła człowieka.

Wchodzę czapkę kładę.

— Mańka, obiad jest? pytam.

A ta ci do mnie.

— O, mój Felusiu słodki! Mój żołnierzyku! Niech że ci się przypatrę!

Zgniewałem się,

— Psiemu synowi się przypatrę, wiesz? Obiad dawaj bo czasu nie mam. I zapowiadam ci, że nie żołnierz, tylko sam kapral 56 pułku. Rozumiesz?

Spokorniała zaraz, jeść daje tłusto, tylko okiem po mnie wodzi, jak kot po spyrce i przygaduje:

— Zaraz, królu, zaraz... Zupkę szczawiową masz i schabik tłusciutki, kartofli ryneczka... Mój że ty kapralu! mój żołnierzyku!..

Wcinam ci na potęgę, aż uszy trzeszczą. Właściem trzy kartofle naraz do gęby wsadził, a tu drzwi się otwierają i wpada mały Julek. Szczenię jeszcze, lat ze 12, alec domowe dziecko. Stały mi te psiekrwie, kartofle w gardle, ani w tył ani naprzód, Siedzę, gały wywalitem, gęby od kartofli ani domknąć. Taki bracie, los. A i Mańka się zestrachala, krzyczy na szczeniaka:

— Czego tu Julek chce?! Julka to rzecz po kuchni łązić? A Julek ci przedemną stanął, rączki złożył grzecznie jak w kościele, patrzy na mnie jak w obraz—i dopiero w prośby:

— Panie Felek! panie kapral! Niech mnie pan ze sobą do wojska weźmie! Mama nie chce, a ja siłę mam już! O, niech mnie pan pomaca! Całą klasę po gębie bije!

Teraz dopiero przewaliły mi przez gardło te cholerne kartofle.

Obiecałem szczeniakowi, że go do skautów wojskowych przypiszą, bagnet mu pokazałem, jak się wyjmuje. Poszedł. Jeszczem Mańkę poklepał parę razy gdzie się dało i poszedłem za swojemi sprawami.

Idę po Chłodnej zaszedłem aż na Wolską patrzę, a tu ci na ulicach młodego chłopca, jak lodu. Chłopy jak byki i wszystko w cywilu. A do wojska w sam raz. I pewnie nie jeden w ruskiem wojsku służył, a w naszym polskiem nie chce.

Zgniewałem się w sobie setnie.

— O psiekrwie, ścierwa sobacz!—myślę sobie. To te moje gołki, akademiki, ufermy, pokraki, wszystkie idą, to mój Julek, szczenie rajskie, też się wyrzywa, a wy, chamany, nie idziecie, kiedy Moskal nas bije! Taki chałuj, Moskal—i Polaka bije? Nasz pułk 56 pułk piechoty, bije — a wy nie idziecie? psia że wasza mać! Toście cholery nie ludzie! Bodaj was ciężka śmierć!

Serwus Antek, bo znów mnie krew zaleje! Taki ci jestem charakterny.

Felek, kapral.



Car Lejba Trocki jedzie do Polski robić sowiety.

(Patrz na str. 6-ej wiersz o Lejbie Trockim).

Rysunek Kamila Mackiewicza.

Car Lejba Trocki.

(Do rysunku K. Macklewicza: „Lejba Trocki
Jedzie do Polski robić sowiety”).

Na wojska przedzie car Lejba jedzie,
Czerwony, krwawy, mknie do Warszawy.
Z marsem na twarzy o Polsce marzy,
Na chudej szkapie jedzie Lejba car.

Przy siodle długa wisi maczuga,
Razem z nahajem, carów zwyczajem.
Za koniem zdwaja krok syn kitaja
Z fuzją na plecach do wymiaru kar.

Car krzywonosy wziął druków stosy,
Zbiór proklamacji i agitacji;
Dla propagandy wśród „polskiej bandy”
Różnych pism, broszur wiezie pełny wór.

W swych drukach gada, jak Rosja rada,
Że w niej sowiety przyszły do mety.
Cudna kraina ten raj Leninal
„Zgnilej Europie” to wolności wzór!

W Rosji swobodnie, gładko wygodnie
I bez zachodu mrze człowiek z głodu;
Tam bez przymusu z suchot, z tyfusu
Tysiące ludzi idzie codzień w grób.

Jest jedną z swobód mus ciężkich robót,
A przytem chociaż tyś chłop, robociarz,
Gdy w złych słów prądzie powiesz o rządzie
„Pod ścianką” zaraz weźmiesz z śmiercią ślub.

Na Polskę szczuje, że tu burzuje,
Że ciśnie chłopu rządowa stopa.
Ten car-komisarz to wściekły pisarz
Bezczelnych cygaństw i frajerskich bajd.

Rzuca wciąż w ludy bibuły pudy.
Kąpie zawzięcie w krwi, w atramencie
Europę, Azję — by mieć okazję
Łgarstwem na chwilę odwlec termin plajt.

O tej swobodzie w ruskim narodzie
Gadaj głupiemu, uwierzy temu!
Lecz nas kłamstw siejba niezmanisz, Lejbo,
Widzimy dobrze twą grandziarza twarz.

A choć twe druki nie dla nauki,
Marna oszwabka, na głupich łapka —
Syp je garściami, one czasami
Zdadzą się, jeśli papier miękki dasz.

Krogulec.

Dlaczego ochotnik jest oczkiem w głowie całego narodu?

Dlaczego tyle ofiar płynie na ochotnika?

Codziennie możemy czytać w gazetach o ofiarach pieniężnych, jakie społeczeństwo składa na armję ochotniczą generała Hallera.

Bogaci dają dziesiątki i setki tysięcy marek, zamożni dają tysiące, pracownicy setki marek, ubodzy dają po kilka marek.

Na tysiące już można policzyć tych ludzi, którzy piszą:

— ponieważ jestem stary i nie mam już sił chwycić za broń, więc daję tyle a tyle, by ochotnik polski nie zaznał biedy!

Dają magnaci i dają robotnicy. Czytaliśmy nawet że więźniowie w jednym z zakładów karnych zebrali składkę i dali to na ochotnika polskiego.

Nie tylko jednak sypią się pieniądze: przychodzi bielizna, żywność, papierosy. Są i znacznie większe ofiary. Oto obywatele ziemscy powiatu grójeckiego ofiarowali *bezpłatnie* dziesiątą część posiadanej ziemi, by te *kilkanaście tysięcy morgów* rozdać po wojnie między najdzielniejszych ochotników. Takich zapisów jest więcej.

Komóż się to dostanie? Juzcić nie ochotnikowi inteligentowi, bo ten, choćby chciał — to wie, że sobie z ziemią nie poradzi. Ta ziemia dostanie się chłopu bezrolnemu ochotnikowi i temu robotnikowi, czy rzemieślnikowi, który, w nagrodę za trudy wojenne, za to że *z dobrej woli* poszedł się bić, zechce po wojnie mieć spokojny kątek na wsi i tam swoje rzemiosło uprawiać.

Są ludzie, co się pytają czy to słuszne, że naród tak wyróżnia ochotników?

Więc mówią:

Przecie ten, co idzie z poboru, też broni Ojczyzny i za nią krew przelewa — więc i jemu się coś należy.

Święta prawda. O każdym żołnierzu, który dziś broni Ojczyzny, powinno państwo pamiętać. Zwłaszcza o inwalidach. I państwo napewno o nich nie zapomni.

Ale musi być różnica między poborowym a ochotnikiem.

Poborowy poszedł pod broń wtedy, kiedy musiał, kiedy mu rząd kazał. Natomiast ochotnik nie czekał na przymus. Rzucił wszystko: rodzinę, warsztat, zajęcie. Nie pytał, czy go komisja poborowa uzna za zdolnego czy za niezdolnego do noszenia broni. Sam uznał, że jest zdolny — i poszedł oddać ojczyźnie zdrowie i życie.

Za tę chotę, za tę gotowość musi być wyróżniony i jest wyróżniony. Za to jest oczkiem w głowie całego narodu.



Bolszewicy nożem nie piórem chcą podpisać pokój!
Pod broń Polacy — odeprzeć takiego wroga!

(Rys Kamilla Mackiewicz).

Chwyć młota, polski robotniku!

Ej, ty od młota ludu dzielny,
 Ty, Kilińskiego mocny wnuku,
 Ty, unurzany w żar piekielny,
 Gdy młot twój śpiewa gromem huku,
 A w twe nabrzmiąle mocą skronie,
 Krew tłucze jako serce w dzwonie,
 Ty, któryś ręką jest narodu,
 Potężny, mocny robotniku,
 Spójrz, jako lezie gdzieś od wschodu
 Czereda krwawa i bez liku.

Gdzie stąpi, krew z pod ziemi tryska,
 Gdzie tchnie, tam mór powietrze toczy,
 Gdzie był, tam ślad pogorzeliśka,
 Że Bóg zaslonił ręką oczy!

Idzie zwierz, plemię Antychrysta,
 By zaprowadzać raj na ziemi;
 Tylko w tym raju ziemia czysta,
 Tylko w tym raju wszyscy niemi,
 Bo ludziom w kleszczach rwą języki,
 Tylko w nim ślepi wszyscy, bowiem
 Wzrok wypalają tam ołowiem,
 Tylko w nim matek słyhać krzyki,
 Którym mordują niemowlęta;
 Tylko w nim chodzą obłąkane,

Gwałcone w biały dzień dziewczęta,
 I nic nie słyhać tylko jęki.
 Ziemia, zmieniona w jedną ranę,
 I nikt sił niema podnieść ręki,
 I Boga prosić zmiłowania,
 Bo głos wyszarpał już wnętrzości,
 Lub żołdak co się pjany ślania,
 Ciało już odbił tam od kości.

Robotnik padł tam przy maszynie,
 I własną krwią swą zwilża wargi.
 I nie śmie westchnąć jękiem skargi,
 I jako nędzny pies tak ginie!

O dzielni, polscy robotnicy!
 Do tego chcą was powieść nieba,
 W kajdany skuć i plunąć w lice,
 Krwią waszą zwilżyć suchość chleba.

Już się tam cieszą, psie ich macie,
 Że w jarzmo zegną wasze szyje!
 Hej, robotnicy przy warsztacie,
 Żyjecie wy i Polska żyje!
 Trzeba w garść plunąć, chwycić młoty—
 I na nich, na skrwawione hordy!!!
 Młot niech się w piorun zmieni złoty
 I niech w kałmuckie wali mordy!

